SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1 Telefon: MAY 2928

Rok I No. 21 NIEDZIELA 8 LISTOPADA 1942 Cena 3d.

JÓZEF WINIEWICZ

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE

TYTUŁ MYCH DZISIEJSZYCH ROZważań mógłby brzmieć bardzo patetycznie, bardziej w każdym razie, niż "Shall our children live or die?" na tytułowej karcie książki Victora Gollancza. W historii bowiem stosunków sąsiedzkich Niemiec i Polski waga zagadnień politycznych maleje wobec powagi problemów moralnych, zimna jasność aktów prawnych zaciera się wobec gorącej wymowy ludzkich tragedyj, rozum dyplomacji kapituluje wobec uczuciowego napięcia zbiorowości.

Zachodnia granica Niemiec w dziejach Europy uformowała się stosunkowo jasno. Powstała blisko Renu. Na południu awantury niemieckich cesarzy, szukających rzymskich tradycyj, nie sforsowały dla Niemiec na trwałe pasma Alp. Na północy granice Niemiec zostały ustalone najtrudniejszą z przeszkód naturalnych — morzem. Otwartym, dostępnym, nęcącym stał się więc dla nich przede wszystkim wschód. Ale i tu działało prawo ograniczoności przestrzeni. W erze margrabiów gwałcono je masowym wyrzynaniem plemion słowiańskich. W epoce Zakonu Krzyżackiego naginano je do potrzeb niemieckich podporządkowywaniem innych zbiorowości nielicznej warstwie zdobywców — Niemców, administrujących mieczem i batem. W tych okresach ukształtował się styl niemieckiej polityki wschodniej, jej aspiracje i metody.

Wiek X zapowiedział, a wiek XV przesądził, że istotną i nie do pokonania dle Niemiec przeszkodą w ich dalszym pochodzie na wschód stała się Polska. Nie tylko dlatego, że państwo polskie umiało oprzeć się *militarnie* najazdom niemieckim, ale głównie dlatego, że naród polski ukształtował swą siłę i odrębność *kulturalną* na bardzo wysokim poziomie. Kultura ta promieniowała tak szeroko, że jeszcze w końcu XIX wieku Constantin Frantz musiał pisać o *Prusach Wschodnich*, które przez wieki całe były kulturalnie z Polską związane:

"I tak, popadłszy w błąd, chce się poprostu tę ziemię zakonu zamienić w człon niemieckiego organizmu, boć przecież nad Pregołą (Pregel) mówi się tak samo dobrze po niemiecku, jak nad Szprewą (Spree). Ja natomiast twierdzę, że Królewiec nie należy do Niemiec, pomimo że tam mówi się po niemiecku."

Siła tej kultury utrzymywała w ścisłym związku z polskością nawet te obszary polskie, które politycznie w ciągu wieków od państwa polskiego zostały oderwane. Temu przypisać należy fakt, że jeszcze w lipcu 1915 roku miejski urząd pomiarowy (Stadtisches Vermessungsamt) we Wrocławiu sporządził mapę *Śląska*, na której cała południowo-wschodnia część tej prowincji od Mielic (Militsch) po Głupczyce (Leobschutz) została objęta napisem: "Polnisch Schlesien."

Zaborczej zachłanności niemieckiej, charakteryzowanej przez Roberta Vansittarta, i politycznej niedojrzałości narodu niemieckiego, na którą skarży się były premier pruski Otto Braun, przypisać chyba trzeba, że Niemcy nie umieli dotąd i nie chcą pogodzić się z faktem niemożliwości kontynuowania swego Drang nach Osten. W XVIII wieku wyzyskali *polityczną* słabość państwa polskiego dla rozbicia Polski. W tej korzystnej dla siebie koniunkturze próbowali wyniszczyć *narodowość* Polaków. Środki, zgodne z zasadami prawa i moralności, oczywiście zawodziły. Bismarck więc, nawet w czułym rodzinnym liście do swej siostry "Geliebte Malle," zalecał bicie Polaków i ostre środki wyniszczenia ich—"ausrotten."

Odrodzenie państwa polskiego po 1918 roku dało odpowiedź, że stosunki polsko-niemieckie muszą układać się na innej płaszczyznie. Historycy nie będą nigdy w stanie wystawić właściwego pomnika ofiarom, którymi masy polskie okupiły zwycięstwo tej prawdy. W 1939 roku Hitler popróbował wrócić na dawną drogę. I to dawnymi metodami, stosując tylko zdwojone, trojone dawki starych recept. Wysiedlaniem Polaków a osadzaniem na ich miejsce Niemców germanizuje ziemię. Praktyką "Deutsche Volksliste" i stosowaniem terroru stara się wymusić wyrzeczenie się przez Polaków własnej narodowości. Żadne "czarne księgi" nigdy nie opiszą Golgoty jednostek, zamkniętej w lakonicznym skrócie dwu ostatnich zdań. Może kiedyś jakiś nowy Marian Zdziechowski użyje z tej dziedziny przykładów do wielkiego traktatu o okrucieństwie. Pióro publicysty politycznego kapituluje.

Bilans germanizacyjnych praktyk Hitlera na ziemiach polskich zestawia w różnych artykułach, w różnej formie dwutygodnik "Ostland," wydawany od 23 lat przez najbardziej polakożerczą organizację "Bund Deutscher Osten." Opinia pisma tego jest szczególnie ciekawa, gdyż zespół ludzi, skupionych dokoła niego, reprezentuje bismarckowską jeszcze tradycję walki z Polakami. Wielu z nich — urzędnicy, byli oficierowie, pastorzy — do 1918 roku przebywało na terenach polskich, jako przywódcy niemieckich forpoczt. Traktat Wersalski zmusił ich do cofnięcia się. W Berlinie założyli swój "Bund" i "Ostland." Pierwszy przewodniczący "Bundu" — poeta Franz Ludtke wydał w ostatnim roku książkę "Ein Jahrtausend Krieg zwischen Deutschland und Polen" Stuttgart — 1941. Po wrześniu 1939 roku Ludtke był pierwszym z tego grona, który wrócił na tereny polskie, do Bydgoszczy. Był też pierwszym z intelektualistów, którzy zaczęli uzasadniać konieczność ostrego kursu wobec Polaków.

"Ostland" bardzo ostrożnie, ale bardzo konsekwentnie przestrzega przed złudzeniem, że są środki, które Polaków przerobią na Niemców. "Ostland" przestrzega też Niemców przed narodową odpornością żywiołu polskiego. W numerze 9 z 1 maja b.r. używa takiego argumentu:

"Kto dąży do asymilacji obcych narodów, ten daje tym dowód małego szacunku dla narodu własnego. Musi on bowiem — skoro asymilacja ma mieć jakiś sens — być przekonanym, że asymilowanie obcych narodowo ludzi ma podnieść jego własny naród. Życzenie germanizowania Polaków, Czechów i tym podobnych narodów, trzeba uważać za obrażające niedocenianie narodu niemieckiego."

Pismo zwraca uwagę, że tereny zabrane Polsce można zgermanizować tylko przez masowe kolonizowanie ich żywiołem czysto niemieckim. Pismo stara się uzmysłowić opinii niemieckiej, że wielkie zdobycze terytorialne nie mogą być utrwalone bez wzmożenia biologicznych sił narodu niemieckiego. Cytuje na poparcie tej tezy słowa profesora Kleo Pleyer, znanego historyka niemieckiego, poległego ostatnio na froncie rosyjskim:

"Podstawową siłą walki granicznej dwu narodów był zawsze dynamizm biologiczny. Elementarną siłą była rodząca kobieta; największe zwycięstwa we wschodnich starciach granicznych odnoszono na łóżku położnicy."

"Ostland" przestrzega przed siłą biologiczną Polaków. I zaraz wskazuje (nr. 13 z 1 lipca b.r.), że narodowi niemieckiemu, zagalopowującemu się na wschód grozi zaniedbanie ludnościowych i gospodarczych potrzeb Prus Wschodnich, Pomeranii, wschodniej Brandenburgii i Śląska, które wykazywały populacyjny i ekonomiczny niedorozwój jeszcze w przededniu obecnej wojny. Pismo nie cofnęło się przed wyrażeniem obawy, że mimo wszystkich sukcesów militarnych na wschodzie — Niemcom nie wolno zapominać, iż dotychczasowe wschodnie prowincje Rzeszy są skazane na dopływ sił roboczych polskich, więc są zagrożone infiltracją obcych narodowo żywiołów.

Każdy z argumentów "Ostland" podmurowuje przekonanie, że nawet gdyby Niemcy tę wojnę wygrali, nie są w stanie utrzymać swych zdobyczy. Ich granica na wschodzie została w ciągu wieków wyraźnie wytyczona i ograniczona:

po pierwsze — *siłą* narodowego i biologicznego odporu Polaków;

po drugie — *możliwościami* ludnościowego i organizacyjnego zagospodarowania dotychczasowego obszaru Rzeszy przez *naród niemiecki*.

Z nieuznania przez Niemców tej prawdy płynęły tragiczne konsekwencje nie tylko dla narodu polskiego, ale i dla całej Europy. Tkwi w tym również tragedia zbiorowości niemieckiej. Constantin Frantz, myśliciel, na którego polityczna emigracja niemiecka w Londynie tak się obecnie często powołuje, analizował stosunek Niemiec do Polski, zwłaszcza w czasie rozbiorów państwa polskiego, z punktu widzenia zasad moralności i określił go, jako:

". . . rozwój niebywałej (ungeheuren) winy (Schuld) i wina ta jest jeszcze nie odkupiona. Dlatego Niemcy nie mogą też jeszcze znaleźć spokoju."

Od roku 1871, gdy ukazała się książka Frantza "Das neue Deutschland," minęło sporo lat i dalszymi krzywdami, wyrządzonymi Polsce, Niemcy zwiększyli swą winę. Większe będzie i odkupienie, a warunki zabezpieczenia Europie pokoju na odcinku stosunków polsko-niemieckich muszą być przemyślane gruntowniej, niż w Wersalu.

JAN REMBIELIŃSKI

STARA POLSKA

NA PARĘ LAT PRZED WYBUCHEM wojny obecnej, powracając z podróży do Niemiec, zatrzymałem się — na krótko zresztą — we Wrocławiu. Było to w niedzielę, wczesnym rankiem. Na ulice puste zupełnie, senne, nie dochodziły jeszcze znikąd ludzkie głosy, i właśnie cisza ta, niezakłócona, potęgowała dojmujące wprost wrażenie, jak gdybym nagle przeniesiony został — w sam środek Polski. Gdziekolwiek spojrzałem bowiem, znad sklepów pozamykanych, pozasłanianych deskami lub żaluzjami, widoczne były na szyldach — wyłącznie nieomal



Król Zygmunt I Stary jako "najwyższy Haytman a sprawca Górnego i Dolnego Śląska" (1502-1506) według ryciny z XVI w.

Na stronicy angielskiej: Monety śląskie z wizerunkami królów Władysława IV i Jana Kazimierza, jako książąt na Raciborzu i Opolu (1645-1660).

— polskie najrdzenniej nazwiska właścicieli. Rachując procentowo, liczba ich była większa chyba, aniżeli w Warszawie albo Krakowie, gdzie często spotkać można, zwłaszcza w dzielnicach handlowych, po niemiecku brzmiące nazwiska żydowskie.

Kontrolowałem później wrażenie to, zachodząc na chybi trafi w bramy domów, i przeglądając spisy lokatorów, wywieszone w klatkach schodowych. Brałem też książkę telefoniczną, otwierając ją jak los zdarzy, by odczytywać listę abonentów. Wszędzie nazwiska na "ski" i "cki," w brzmieniu poprawnym albo zniekształconym, a już Urbanków, Nowaków i t.p. znajdowałem — dosłownie — na każdym kroku.

I ze wszystkich obserwacyj tych unaoczniał się fakt jawny, niewątpliwy: że łatwiej przesuwają się — tam i z powrotem — zasięgi mowy, obyczaju, ideologij, aniżeli lud rdzenny, od czasów niepamiętnych na własnej swojej ziemi ojczystej żyjący. Na miejsce języka polskiego wdarła się niemczyzna, zewnętrzny obyczaj upodobniono do szablonu Rzeszy, oddziały Hitlerjugend, które w parę godzin później ujrzałem paradujące przed wrocławskim ratuszem, nie mniejszy prawdopodobnie miały entuzjazm dla Führera, niż "narybek partyjny" z Norymbergi albo Hamburga. Ale nawet i owa młodzież jeszcze — to przecież w dalszym ciągu ŚLĄZACY, ludzie na innym podłożu tradycji urodzeni, inne psychiczne mający dyspozycje i możliwości.

Idąc z dworca kolejowego ku środkowi miasta, obok szpetnych, nowoczesnych kamienic czynszowych, spostrzegłem nagle kościół średniowieczny, o pocieminałej ze starości cegle. "Kościół św. Wojciecha" — objaśnia mnie babulinka, powracająca właśnie z Prymarii. Ale nie w tym tylko rzecz, że świątynia sama jest pod wezwaniem pierwszego Patrona Polski, z Chrobrym przyjaźnią i współpracą związanego, autora legendarnego "Bogurodzicy." Wszedłszy do wnętrza, spostrzegam trumnę-relikwiarz ze szczątkami błogosławionego Czesława Odrowąża, z owego rodu pobożnego, który, jedyny wśród Polaków, wydał trzech synów aż, godnych wyniesiania na ołtarze. I uklęknąwszy, jak gdybym widział równocześnie trumnę świętego Jacka Odrowąża w kaplicy u krakowskich Dominikanów, a w myśli staje mi błogosławiony Iwo Odrowąż, w tymże Krakowie zaczynający wznosić Kościół Mariacki.

Wspomnienie zamieniłoby się w "przewodnik po Wrocławiu," gdybym chciał podać świadectwa rozliczne polskiej przeszłości grodu. Oto w kościele św. Wincentego pochowany Henryk Pobożny, "poległy pod Lignicą, 1241 roku," jak ogłasza łaciński napis na płycie grobowca. Pierwszy polski wódz naczelny, co życie położył w bitwie z wrogiem, tak jak następnie Warneńczyk, Żółkiewski, Książę Józef. . . . Oto w kościele św. Krzyża sarkofag Henryka Probusa, któremu nowsza dopiero historiografia oddała sprawiedliwość, jako pierwszemu co przystąpił do odbudowy Królestwa Polskiego po podziałach w wieku XII i XIII. Sarkofag, dodajmy, na którego tarczy jest wyrzeźbiony najstarszy, znany nam, Orzeł Biały, najstarszy wizerunek herbu Piastów i Polski, jaki zachował się do naszych czasów. Oto katedra wreszcie, z fundacji Chrobrego jeszcze, a tak odmienna architektonicznie od niemieckich, łącząca gotyk z przybudówką kaplic renesansowych, podobną całkiem we Wrocławiu jak we Włocławku bo w obu tumach, z tego samego wzoru — z Zygmuntowskiej kaplicy wawelskiej — brano przykład.

Wieczorem tegoż dnia, na dworcu kolejowym, czekając na pociąg warszawski rozmyślałem o Piotrze Właście Duninie, postaci najwybitniejszej i najciekawszej bezsprzecznie wśród możnowładców polskich w wieku XII. W jednym z kościołów wrocławskich, ufundowanych przezeń, do dziś zachował się romański tympanon portalu, gdzie w płaskorzeźbie przedstawiona jest żona Piotra, a także syn jego, Świętosław. Zastanawiałem się co mógł czuć i o czym myślał ten młody a możny panicz, odziany w świtkę sutą i trefiący w pukle swoje długie i gęste włosy. . . .

Z boku dochodziła mnie rozmowa niemiecka dwu młodych robotników, naprawiających coś około elektryczności, a nawet przy bluzie roboczej nie zapominających nosić partyjnej, hitlerowskiej swastyki. Wtem któryś z nich, przypadkowo najwidoczniej wywołał krótkie spięcie, pogrążając na kilka chwil peron cały w mroku. I naraz wśród ciemności tej z ust robotnika padło przekleństwo po polsku, wyrażenie starodawne, a takie soczyste, że muszę wyrzec się przytoczenia go w druku . . .

★

Nawracam do tych wspomnień, by przeciwstawić się popularnemu, do dziś częstokroć mającemu kurs frazesowi o "cudzie" rzekomym odrodzenia polskości Śląska, "z niczego" jakoby pojawiającym się w początku bieżacego stulecia. Śląsk, wraz z Wrocławiem stanowił wszak część Polski przez połowę mniej więcej przedrozbiorowych naszych dziejów, przez całą epokę Piastów, w której powstała i utrwaliła się nasza odrębna osobowość jak narodu. Następnie, za Jagiellonów, więź ta też nie była zerwana, skoro książęta śląscy wciąż ponawiali zapewnienia wierności Rzplitej, a późniejsi królowie polscy, Jan Olbracht i Zygmunt Stary sprawowali — i na Dolnym Śląsku również — władzę namiestniczą. Nawet za Wazów jeszcze królowie Władysław IV i Jan Kazimierz byli zarazem książętami na Opolu i Raciborzu, a syn króla Zygmunta III, książę Karol Ferdynand zasiadał na stolicy biskupiej we Wrocławiu.

Odrodzenie polskości Śląska więc, które zaczęło się przed pół wiekiem i jest w toku, stanowi jeden z licznych przykładów ruchów narodowych w Europie i trudno nazwać je czymś wyjątkowym, "cudownym." Praga Czeska w okresie, gdy w niej koncertował Mozart, Praga z epoki poprzedzającej Palackyego, musiała zdawać się miastem równie niemieckim, w języku i obyczaju, jak dziś Wrocław. Zaś we Wrocławiu też, podobnie jak w Pradze, każdy kamień przypomina o narodowej przeszłości, o puściznie dostojnej, której pokolenia dzisiejsze są, lub muszą stać się godnymi dziedzicami.

Lecz z drugiej strony — i z nie mniejszą stanowczością — chciałbym też przeciwstawić się błędowi drugiemu. Myślę o tych, co prawa nasze na Śląsku stawią na równi z kwestią ziem dawnych Słowian Zachodnich, co poszukują słowiańskich nazw miejscowości pod Berlinem, albo cmentarzysk wendzkich czy obotryckich gdzieś nad dolną Odrą i Łabą. Wrocław nie tylko bowiem był intergralną częścią Polski w ciągu długiego okresu jej dziejów, lecz bodaj głównym ośrodkiem jej, kulturalnym i politycznym, poprzez cały wiek XII i XIII. Odgrywał wówczas taką mniej więcej rolę, jak przedtem, w X stuleciu Poznań, jak później Kraków przez lat trzysta z okładem, później Warszawa, a w początkach zeszłego wieku—Wilno.

To też różnica jest tu taka właśnie, jak między historią a prehistorią, między św. Czesławem, którego dotąd czci lud wrocławski, a podaniami o kontynie Swentowita na Rugii. Istota rzeczy w tym, że Śląsk — także i Śląsk Dolny — nie jest jedynie — jakąś "ziemią gromadzącą prochy." Historia ulepiła już z gliny tej ciało, i tchnęła duszę w nie — ducha tysiącletniej naszej przeszłości.

TADEUSZ KIERSNOWSKI

TRZEBA WIERZYĆ

KAŻDY, KTO STAWIA PRZED SOBĄ jakiś cel, kto dąży do jakiegoś osiągnięcia, musi posiadać dwie zasadnicze cechy: dokładnie zdawać sobie sprawę czego chce, oraz musi głęboko wierzyć w sprawę której służy. Człowiek który jest niezdecydowany, który sam ma różne wątpliwości, nigdy, rzec można, do celu nie dojdzie i mimowoli nawet całą sprawę może wskutek tego zaprzepaścić. Przykładów tego mieliśmy sporo w naszej historii, wystarczy wymienić postać Chłopickiego, jako wodza powstania 1831 r. Jeśli zaś wiara w słuszność sprawy jest niezbędna w działaniu jednostki, to cóż mówić o narodzie. W dzisiejszych czasach, gdy wojna totalna wymaga od każdego narodu wytworzenia nieprawdopodobnej wprost siły, wiara w słuszność sprawy i możliwość osiągnięcia zamierzonego celu jest niezbędnym psychologicznym czynnikiem zwycięstwa. Dotychczasowe liczne sukcesy armii niemieckiej tym właśnie w dużej mierze należy tłumaczyć, bo wszak nie jest tajemnicą, że armia ta była w znacznym stopniu ożywiona głęboką wiarą w słuszność doktryny i ślepą wprost wiarą w swego wodza. I odwrotnie, jeżeli są ścisłe wiadomości, że na skutek ostatnich wydarzeń, wiara w zwycięstwo wśród Niemców słabnie lub zanika, jest to niewątpliwie pierwszym objawem ich nieuchronnej klęski.



Rys J. Poliński

Już na statku, w drodze do Anglii, poznałem miłą i inteligentną przedstawicielkę jednego z narodów sprzymierzonych. Gdy razu pewnego powiedziałem jej, że nie mam najmniejszych wątpliwości co do zwycięstwa aliantów, odrzekła mi: "No dobrze, ale jak pan to sobie wyobraża, jak to można osiągnąć, przecież to jest w obecnych warunkach prawie niemożliwe . . .?" Zastanowił mnie wówczas ten jawny brak wiary w sprawę, choć wojna obecna wykazała ponad wszelką wątpliwość, że nie ma dziś twierdz lub linij obronnych niezdobytych, że wszystko co zostało w tej dziedzinie rękami czy też mózgiem człowieka zrobione, inny człowiek potrafi przełamać lub zniszczyć, trzeba tylko mieć prawdziwą wolę zwycięstwa i być zdecydowanym na wszystko. A jak to technicznie uskutecznić? — w odpowiedzi na to pytanie nasuwa mi się pewna pół-anegdota, którą kiedyś przed laty słyszałem. Do ministra wojny zgłasza się człowiek, który twierdzi, że wynalazł taki pancerz statku, iż go żadna z istniejących armat nie przebije. Po sprawdzeniu tego wynalazku i zakupieniu go przez państwo, wynalazca ów, opuszczając gabinet ministra, dodał od niechcenia: "Właściwie, mam dla pana jeszcze inny wynalazek" — "Coż takiego?" — "Wynalazłem jeszcze nowe działo, które przebija wszystkie pancerze, w tej liczbie i ten który panu przed chwilą sprzedałem."

Ale jeżeli głęboką wiarę musi mieć każdy walczący naród, to my, Polacy, musimy ją mieć w ilości podwójnej. W tej najstraszliwszej w dziejach naszych klęsce musimy wykrzesać z siebie niesamowitą wprost siłę, musimy głęboko wierzyć w słuszność naszej sprawy. Winniśmy zwarcie, jak jeden granitowy blok, stać twardo w obronie naszych słusznych postulatów, naszych praw do życia jako narodu. My musimy zwyciężyć, inaczej przestaniemy wprost być ludźmi. Szczególnie jaskrawo to ostatnie uwydatniło się wśród naszych rodaków w Rosji. Tam każdy robotnik, chłop czy inteligent naocznie i jakże plastycznie uświadomił sobie że "bez Polski nie ma życia" — inaczej bowiem schodzimy do bytu jakichś zwierząt roboczych, którymi każdy, kto tylko chce, poniewiera. Dlatego też musimy jaknajostrzej piętnować wśród nas samych wszelkie objawy defetyzmu, czy chociażby pewne koncepcje domorosłych "mędrków," którzy często wprost dla oryginalności lub dla literackiego frazesu próbują filtrować wątpliwość co do słuszności niektórych dogmatów, opartych na zdrowym instynkcie całego narodu.

Bywają okresy gdy tężyzna duchowa poszczególnego człowieka poddana zostaje ciężkiej próbie. Taki właśnie okres przeżywaliśmy w swoim czasie w Rosji. Zdawało się, że wszystkie moce tego świata sprzysięgły się przeciwko nam, że znikąd już nie można się spodziewać ratunku, a więc z konieczności w samym sobie tylko trzeba szukać wartości, z których można by było wykrzesać tak niezbędną "moc wytrwania." Dziś już można z całym obiektywizmem stwierdzić, że o ile chodzi o postawę duchową, to Polacy wyraźnie górowali nad przedstawicielami wszystkich innych narodowości, jak Łotysze, tatarzy lub żydzi. Tłumaczy się to bardzo prosto: myśmy mieli w co wierzyć. Wielu z nas podtrzymywała głęboka wiara w Sprawiedliwość Boską, wiara w Opatrzność, która nie dopuści do naszej zagłady, wszystkich zaś bez wyjątku podtrzymywała bezgraniczna wprost wiara w Polskę. Przypominam sobie pewnego mego przyjaciela, z którym codziennie w ciągu 5 miesięcy rozmawiałem, oczywiście nielegalnie, przez zasłonięte blachą okno więzienne, a twarzy jego nigdy w życiu nie widziałem. Był to student uniwersytetu wileńskiego, z 3-go roku prawa, Tadeusz Ł., który zwierzał mi się kiedyś: "Pana to może zdziwi, ale mnie przy życiu trzyma tylko głębokie poczucie religijne . . ." Spotykałem również ludzi, którzy otrzymując wyrok 8 lat katorgi, mówili z wesołą miną, niemal śmiejąc się w oczy naszym ówczesnym "opiekunom": "Co, tylko 8 lat? to bardzo mało. Wszystko jedno, znów będzie Polska i więcej roku siedzieć nie będę."

Osobiście w okresie mego 14 miesięcznego pobytu w więzieniu miałem tylko jeden dzień, w którym omal że się nie załamałem. Było to dokładnie 24 lipca 1940 r., siedziałem wówczas sam jeden w t.zw. "izolatce." Dzień ten był dla mnie rocznicą szczególnie miłych i drogich wspomnień, to też pod wpływem ich zacząłem się "rozklejać." Poczułem wówczas, że po paru tygodniach ciągłego napięcia nerwowego, energia zaczyna mnie opuszczać, zaczynało mi wprost brakować sił, zarówno fizycznych jak i duchowych. Zdawało mi się, że już dłużej nie wytrzymam. Odbywając w takim nastroju swój codzienny 6-krokowy spacer po celi, w pewnym momencie zatrzymałem się przed otwartym dowewnątrz oknem i zacząłem się jak w lustrze przeglądać w szybie. W pewnej chwili przez szkło zobaczyłem na framudze okna napis, którego dotąd, mimo skrupulatnego obejrzenia celi, nie znałem. Po odchyleniu okna odczytałem tekst pisany ołówkiem, tekst, którego do końca życia nie zapomnę. Brzmiał on dosłownie: "Cześć bojownikom o wolność Polski! Bracia, wytrwajcie do końca, nie wolno się załamać! Do nas należy zwycięstwo ostateczne!!"

Ten "głos z Nieba" odrazu postawił mnie na nogi. Uświadomiłem sobie wówczas, że w tej celi siedział przedemną jakiś mocny człowiek, a ja od niego nie powinienem być gorszy. Może to był tylko zwykły przypadek, a może Opatrzność chciała przyjść mi z pomocą w jednej z najcięższych chwil mego życia?

IGNACY BALIŃSKI

MATKA BOSKA Z SUDBURY

NIKT ZAPEWNE W POLSCE NIE SŁYSZAŁ o Matce Boskiej z Sudbury, której posąg od zarania Średnich Wieków znajdował się w Kościele św. Grzegorza, niegdyś głównej świątyni katolickiej tego miasta. Posąg ten był otoczony wielką czcią ze strony wiernych i mieścił się w osobnym, kosztownym ołtarzyku.

Szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej z Sudbury, jak stwierdza historyk miasta Hodson, żywiła księżniczka Elżbieta Plantagenet, później jako małżonka Henryka VII, królowa angielska. Ona też przyczyniła się do ozdobienia ołtarzyka cennymi darami.

Według tradycji, w niedzielę po święcie Wniebowzięcia duchowieństwo nad ranem przenosiło ołtarzyk ze statuą do pobliskiej kaplicy, a po południu powracało z nim w uroczystej procesji do kościoła co nazywało się "The home coming of Our Lady at sundown" ("Powrót Matki Boskiej o zachodzie"). Za panowania królowej Elżbiety ołtarzyk został obrabowany z wotów i zniszczony, samą statuę jednak garstka wiernych ukryła i przechowała.

Miasto Sudbury, znane w historii sztuki jako miejsce urodzenia słynnego malarza Gainsborough, leży na samej granicy hrabstwa Suffolk w diecezji katolickiej Northampton. Od 1872 roku jest miastem parafialnym i posiada niewielki nowy kościół pod wezwaniem Matki Boskiej i św. Jana Ewangelisty. Odbudowanie ołtarzyka ze statuą leżało na sercu zarówno biskupa jak i proboszczów. Przed kilku laty ks. proboszcz Ralf Gerard Moir poznał katolika z Chicago, który obiecał wyłożyć potrzebne na to środki, lecz umarł nagle przed wykonaniem swego zamiaru. Znalazła się natomiast pewna ofiarodawczyni, nie katoliczka, która przyczyniła się hojnie do odbudowania pięknego ołtarzyka, tak iż w niedzielę 15 sierpnia 1937 roku Matka Boska z Sudbury w uroczystej procesji, jak przed wiekami, stanęła znowu w kościele swojej parafii.

Tak się złożyło, że od przyjazdu do Anglii późną jesienią 1939 roku zamieszkuję przeważnie w pobliżu Sudbury i tam jeżdżę do kościoła. My, Polacy, w tej okolicy cieszymy się serdeczną życzliwością i gościnnością mieszkańców. Nie mogę zwłaszcza nie podkreślić szczególnie przyjaźni dla Polski ks. proboszcza Moira, który w kazaniach swych porusza często nasze sprawy, odprawia msze św. za poległych Polaków, ostatnio zaś, przy obchodzie trzeciej rocznicy tej wojny, do głębi wzruszył wszystkich obecnych obrazem naszych walk i wytrwania. Dodam, że zaraz w pierwszym roku wojny, dnia 15 sierpnia 1940 roku umieścił uroczyście w kościele piękną kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, jednocząc symbolicznie w czci do Najświętszej Marii Panny oba walczące o zwycięstwo sprawiedliwości narody.

ERRATUM: W nr. 20 "Sprawy" podpis pod fotografią dworu na pierwszej stronicy winien brzmieć: "Dwór w Opinogórze, gniazdo rodzinne Zygmunta Krasińskiego."

ZMARLI

śtp. KS. JAN PIWOWARCZYK

WSZYSTKIE WARSTWY I WSZYSTKIE obozy polityczne w Polsce ponoszą bolesne straty wskutek krwawego terroru niemieckiego. Nie oszczędzony został oczywiście również ruch katolicko-społeczny. Ostatnio dwu wybitnych jego przedstawicieli zmarło w osławionym obozie koncentrancyjnym w Oświęcimiu.

Jednym z nich jest ks.dr. Jan Piwowarczyk, wybitny dziennikarz, ostatnio kierownik Seminarium Duchownego w Krakowie. Przez kilkanaście lat był on współpracownikiem a potem naczelnym redaktorem krakowskiego "Głosu Narodu" i na tym stanowisku ogromnie się przyczynił do popularyzacji encyklik papieskich "Rerum Novarum" i "Quadragesimo Anno." Napisał też szereg oddzielnych prac na temat socjalizmu, kapitalizmu, komunizmu, brał wybitny udział w pracach Rady Społecznej przy Prymasie Polski, wygłaszał odczyty na zjazdach i kursach katolickich, a powołany do wykładów na Uniwerstytecie Jagiellońskim, dbał również o wzbudzenie w młodej generacji kapłanów zapału do reform społecznych i głębokiej wrażliwości na nędzę proletariatu. Pracował wytrwale w chrześcijańskim ruchu zawodowym. Skromny, ofiarny, bezinteresowny, pozostawił po sobie najlepszą pamięć. Jego tragiczna śmierć w Oświęcimiu, w kwiecie wieku, tworzy w szeregach katolików polskich lukę, którą trudno będzie wyrównać.

śtp. DR. WŁADYSŁAW TEMPKA

Innym wybitnym Polakiem, zmarłym w Oświecimiu, jest Dr. Władysław Tempka, typ katolickiego działacza świeckiego. Z zawodu adwokat, pracował na niwie społecznej w największym polskim okręgu przemysłowym, na Górnym Śląsku, wśród rzesz górników i hutników. Ciesząc się dużą popularnością, został wybrany w roku 1928 po raz pierwszy, a potem w roku 1930 ponownie do Sejmu. Gdy wybuchła wojna, walczył jako oficer w szeregach armii polskiej. Zdołał zbiec z niewoli i osiedlił się w Krakowie, gdzie, niestety, w kwietniu 1940 r. został aresztowany przez Gestapo. Po kilkumiesięcznym śledztwie został wywieziony do Oświęcimia, owej kaźni polskiej inteligencji. Tam zmarł przed paru miesiącami.

Te dwa nazwiska świadczą, jakie szczerby powstają w polskim ruchu katolickim.

K. L.

śtp. KS. STANISŁAW SINKOWSKI

W SZPITALU WOJSKOWYM W SZKOCJI, po długiej i ciężkiej chorobie, zakończył życie dnia 20 października rb. ś.p. Ks. Dziekan Stanisław Sinkowski. Urodził się 3.X.1890 r.w Sanoku. Po ukończeniu gimnazjum, odbył studia filozoficzno-teologiczne w Seminarium przemyskim, gdzie w roku 1913 został wyświęcony na kapłana. W czasie pierwszej wojny światowej powołany został do wojska austriackiego na stanowisko kapelana, w listopadzie zaś 1918 r. wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej.

Podczas kampanii wojennej 1918-1921 r. brał udział w walkach jako kapelan 14 p.p. Za zasługi bojowe odznaczony został Krzyżem Virtuti Militari. Odwaga i opanowanie cechowały jego zachowanie się podczas walk. Był zawsze tam, gdzie żołnierz krwawił się i ginął.

W czasach pokojowych wybitnie pracował nad podniesieniem i utrzymaniem wartości moralnych żołnierza polskiego, przez całkowite oddanie się sprawom duszpasterstwa wojskowego. Za swego duszpasterzowania w Katowicach, wybudował piękny kościół wojskowy.

Piękne wspomnienie pozostało po pobycie jego w obozach rumuńskich. "To był dobry pasterz, pełen miłości dla zbolałych serc żołnierskich —" mówiono o nim.

Odszedł do ostatniego raportu przed Bogiem, gorliwy pracownik na niwie Bożej, dobry i szlachetny rycerz Chrystusowy.

M.

JAN ART

☆ ☆ ☆

Autor ksiądz, ukrywający się pod pseudonimem powyższym był przez szereg lat wychowawcą i nauczycielem w jednym z najzasłużeńszych gimnazjów — internatów w Polsce.

W białym piekle księżycowych nocy,
Gdy mróz zgrzyta i dławi za gardło,
o najmilsi sercu memu chłopcy! —
myślę w bólu — ilu Was pomarło . . .—

Gdzieś leżycie w rowach i po jamach.
Rozdeptani. Zmiażdżeni. Pokłóci. —
(Polski tragizm — śnieg zawiał jak Sybir,
a spazm szlochu — mróz, jak ukaz, króci.)

Sam wygnaniec — bez Polski i domu,
przez zawiane zimnej Litwy drogi, —
idę duchem czujnie i kryjomo
szukać Waszych — nienazwanych mogił.

Sięgam ku Wam — w skutą mrozem ziemię
(mimo granic, wach i posterunków . . .)
Na Krzyż Pański przenoszę krew Waszą,
odtajałą — w gorącym całunku. —

I — jak ongi — małe pacholęta
otulałem śpiące cicho w nocy,
tak Was w ciepły szept owijam teraz
mych różańców ufnych i sierocych

Zimne gwiazdy — (głodne ślepia wilcze)
rozżarzają zasp śnieżystych szkliwo.
Zdala, w Litwie męczę się i milczę!
Myśląc o Was — wierzę — w SPRAWIEDLIWOŚĆ.

16.11.1940 *Litwa — wygnanie.*

JAN RAJECKI

DWÓR

WIELU Z NAS, GDY IM ZDARZA SIĘ wyjechać na dłużej, z Londynu do Szkocji albo ze Szkocji do Londynu, z chwilą wkładania ostatnich drobnostek do kuferka, stanęło nagle w zamyśleniu. Te automatyczne czynności przypomniały inne, dawniejsze przyjazdy i wyjazdy z własnego domu. I tak myśl, zaprzątnięta troską o bliższych i dalszych, zasłuchana w wołanie zaginionych, zbaczała ku bardziej płomiennym szlakom.

Ta droga powrotna do krainy wspomnień i pamiątek zatrzymuje się przed dworem na wsi. Za czasów tamtej, stuletniej niewoli, możeśmy nawet nie doceniali jego znaczenia i w dążeniu ustawicznym do niepodległości, stawiając ciągle na jedną kartę, nie rozumieliśmy ile siły w przetrwaniu dawały nam te własne ściany, ten płot otaczający ogród, ta brama otwarta dla swoich, a którą Niemiec albo Moskal przekraczali zrzadka i tylko w sprawie urzędowej.

Wewnątrz, szczególnie dla dzieci i młodych Polska zdawała się zawsze obecną i potężną. Jeżeli potem, niektórym ciążyła wiejskość, innym trudy gospodarowania i zabiegi o utrzymanie ojcowizny, to dopóki stał i trwał, każdy dwór darzył swoich mieszkańców, ich krewnych i przyjaciół, nieprzebranym zasobem radości ziemskich i duchowych.

Przede wszystkim otrzymaliśmy to bogactwo, o którym mówi Ewangelia, że Ojciec nasz niebieski rozdziela je porówno złym i dobrym, codzienne piękno pogody wiejskiej. Ogród, dom i dziedziniec, rzeczkę i staw obejmował szerszym kręgiem znany horyzont. Słońce podnosiło się codzień z wiadomego miejsca i sączyło przez gałęzie lip, kładąc ukośne pasmo na rosisty trawnik, a co wieczór gasło łagodnie za polem i lasem. Wydarzenia dnia składały się z ciągłych, drobnych spostrzeżeń, blasków, kolorów, zapachów wszechobecnej przyrody. Dom podłożony i niski tonął zazwyczaj w zieleni, w dzikim winie i grzędach kwiatów, zimą szarzał w śniegu i szronie, jak w najwspanialszych gronostajach.

Co może było najdziwniejsze to wszechstronność i rozmaitość tych osiedli, od Berezyny aż po Wartę. Drewniane i małe, murowane i okazałe, dwory miały to do siebie, że każdy był światem zamkniętym w sobie, równie samodzielnym, jak odrębnym. Nikt nikogo nie naśladował, przeciwnie, w sąsiedztwie robiono sobie na przekór. Nikt wedle ustalonego obrządku nie podawał herbaty i nie rozsadzał gości. A zarazem choć się spierano, gorszono, krytykowano nawzajem — wszystkich łączyła swoboda i zgodność instynktów.

Kto nie zaznał słodyczy tego obyczaju wiejskiego, ten nie poznał jednego z walnych pierwiastków, który pozwolił Polsce przetrwać długi okres niewoli, a który i dziś jeszcze stanowi ważny i cenny składnik jej kultury. Cała litania miejscowości drogich i blizkich ciśnie mi się pod pióro. Powrócę jednak tam, gdzie był dwór moich lat dziecinnych, na Polesie.

Jechało się do niego od Łunińca, boczną koleją w stronę Mozyrza, następnie 15 kilometrów piaszczystą i błotnistą drogą, pełną wybojów. U wylotu ostatniego lasu zaczynały się orne pola i długa aleja wysychających ze starości topoli włoskich. Za białą, murowaną bramą leżał przestronny dziedziniec, z okrągłym trawnikiem, otoczonym strzyżoną spireą. W głębi stał dwór drewniany na białym podmurowaniu, malowany na szaro, ale z białymi występami i obramieniem okien. Cztery duże, murowane i bielone kolumny podtrzymywały klasyczny strop pierwszego piętra. Bawialne pokoje były niskie, ale przestronne, parkiety lśniły się i pachniały woskiem. Pod ścianami stały sztywne i masywne meble, trochę bronzów zdobiło kominek i serwantki. Na ścianach wisiało dużo portretów i parę doskonałych kopij obrazów włoskich, dzieło malarki z poprzedniego pokolenia. Po przeciwległej od zajazdu stronie wszystkie okna dworu patrzyły na rzekę. Płynęła ona z Zachodu na Wschód, zataczając szerokie półkole u stóp wysokiego brzegu. Za nią, aż do krańca widnokręgu i do błękitnych mgiełek oznaczających odległe lasy, ciągnęły się łąki, zrzadka zarosłe starymi dębami. Do dworu, jak dwa ramiona obejmujące rzekę przelegały, z jednej strony park, z drugiej — ogród owocowy. Najbliżej od strony parku rosły wiekowe świerki, przy pogodzie połyskujące metaliczną zielenią, w dnie bezsłoneczne znaczące się zwartą granatową masą. To wszystko już nie istnieje, to wszystko zapadło się w nicość 23 lat temu. Więc poco opowiadać jaka tam kwitła kultura, jakie czytano książki, jakie prowadzono rozmowy, jacy zjeżdżali się krewni, jaka panowała wesołość? Zdawało mi się, że łatwo odwrócę kartę z przeszłości. A oto karta stała się cięższą od płyty grobowca.

THE COMMON CAUSE

FORTNIGHTLY OF THE POLISH SECTION OF THE "SWORD OF THE SPIRIT"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1 Telephone: MAY 2928

Vol. I No. 21 NOVEMBER 8, 1942 Price 3d.

JÓZEF WINIEWICZ

GERMAN-POLISH RELATIONS

I COULD GIVE A MORE PATHETIC title to my essay today, a title even more pathetic than "Shall Our Children Live or Die?" which decorates the front page of the book by Victor Gollancz. Indeed, in the history of the relations between Germany and Poland political problems are less weighty than moral ones. The clarity of legal acts is clouded by human feelings on both sides, and diplomacy has to capitulate before the intensity of these feelings.

Germany's western frontier was drawn comparatively early and along a comparatively stable line. It was drawn in the vicinity of the Rhine. In the south, the ventures of the German Emperors, who tried to restore the traditions of Rome, failed to bring Germany the permanent control of the Alpine passes. In the north, Germany's frontiers were fixed by the sea, the natural obstacle most difficult to overcome. So the east alone remained open and a permanent temptation to her. But here the fact that this territory was inhabited was a drawback. In the era of the Margraves of Brandenburg this obstacle was in process of being overcome by a mass slaughter of Slav tribes. In the period of the Teutonic Knights German ambitions were realized by the subjugation of alien peoples to a thin layer of German conquerors who ruled by sword and scourge. It was then that the characteristic style of German eastern policy, its methods and aims, took a definite shape.

The tenth century was a promise and the fifteenth century a definite warning that the real and insurmountable obstacle to Germany's march to the east was Poland. It was so not only because Poland was capable of resisting German invasions militarily, but mainly because the Polish nation moulded its cultural individuality on a very high level. This culture radiated so far and wide that it assimilated even alien elements. Even at the end of the nineteenth century Konstantin Frantz had to write about East Prussia, for centuries culturally linked with Poland, as follows:

"Thus we have committed a mistake and we want to turn this land of the Teutonic Order into a member of the German body, arguing that on the banks of the Pregel one speaks German as well as on the banks of the Spree. But I claim that Konigsberg does not belong to Germany, though German is spoken there."

The force of Polish culture preserved a close link between Poland and those of her territories which had been severed from her centuries ago. Thus only can the fact be explained that as late as July 1915 the Surveyor's Office in Breslau made a map of Silesia on which the whole south-eastern part of this province, from Militsch to Leopschutz, was labelled "Polnisch Schlesien."

I think we must ascribe the fact that Germany has refused and is still refusing to admit that she cannot continue her Drang nach Osten to the eternal German appetite for new conquests, so well described by Lord Vansittart, and to the political immaturity of the German nation, of which even a former Prussian Prime Minister, Otto Braun, complained so bitterly. In the eighteenth century Germany took advantage of the political weakness of Poland to partition her. She also tried to exterminate the Poles as a nation. As the means which were not contrary to the principles of law and morality, of course, failed them, Bismarck advised the beating of Poles and other means of extermination even in his sentimental letters to his sister, the "geliebte Malle."

The restoration of Poland in 1918 showed that Polish-German relations must be built on a different basis. Historians will never be capable of praising sufficiently the victims who made the victory of this truth possible. In 1939 Hitler tried to return to the old path, and to the old methods. He merely doubled or trebled the old prescriptions. He is trying to force the Poles to deny their own nationality. No "Black Book" will ever describe adequately the Golgotha of the Poles under Nazi rule. Some day perhaps some new Marian Zdziechowski (the famous Professor of the University of Wilno, who wrote a treatise "On Cruelty" and who died before the war) will use material from this period for a new treatise on "Sadism." But the pen of a political writer must yield here.

The fortnightly "Ostland" published, during the last 23 years, by the most Polonophobe organization "Bund Deutscher Osten" has made a summary of Hitler's policy of Germanization in Poland. The opinion of this paper is of particular interest, because it represents the views of people who are the heirs of the persecutors of Poles, even in Bismarck's times. Many of them lived in Poland before 1918, as officials or officers, and the vanguard of aggressive Germandom. The Treaty of Versailles compelled them to leave Polish territories. In Berlin they founded their Bund and the "Ostland." The first chairman of the Bund, the poet Franz Ludke, last year published a book called "Ein Jahrtausend Krieg zwischen Deutschland und Polen" (Stuttgart 1941). After September 1939 Ludke was the first to return to Bydgoszcz in Poland. He was also the first of the intellectuals who tried to demonstrate the necessity of a harsh policy towards Poles.

The "Ostland" warns the Germans very cautiously but constantly against the illusion that there are any means of turning the Poles into Germans. It also warns the Germans against the strength of Polish national resistance. In its issue of May 1st of this year it uses the following arguments:

"Whoever tries to assimilate other nations gives thereby a proof of but little respect for his own nation. If assimilation is to have any sense at all, this man must feel certain that this process will raise the level of his own nation. We must consider the desire to Germanize Poles, Czechs and other similar nations as a proof of insufficient respect for the German nation."

The paper says that the territories conquered in Poland can be Germanized only by mass-colonization with purely German settlers. The paper also tries to convince German public opinion that territorial conquests cannot be made lasting without increasing the biological strength of the German nation. In support of this opinion it quotes the words of Professor Kleo Pleyer, the well-known German historian, who was recently killed on the Russian front.

"Biological vitality was always the basic force in the frontier-struggle between two nations. The pregnant woman is the basic force; the greatest victories in the Eastern frontier-struggle were won in child-birth."

The "Ostland" warns its readers against the biological strength of the Poles. In its issue of July 1st, 1942, it says that the German nation, which has now advanced so far to the east, is threatened with a neglect of the population needs of East Prussia, Pomerania, Eastern Brandenburg and Silesia; even before the present war these provinces were under-developed from the viewpoint of economics and population. The paper even dared to express the fear that Germany might forget that the pre-war eastern provinces of the Reich had still to import Polish labour and were thus threatened with the infiltration of an alien nationality.

Every argument of the "Ostland" supports the theory that, should Germany even win this war, she would not be capable of holding her conquests. Her eastern frontier has been clearly limited and drawn throughout the ages by, firstly, the strength of the national and biological resistance of the Poles, and secondly by the limited possibilities of the German nation.

Germany refused to recognise these truths and this led to tragic consequences not only for the Poles but for the whole of Europe. This is the tragedy of the German community. Konstantin Frantz, a thinker whom the German emigres in London often like to quote, analysed the attitude of Germany to Poland from a moral viewpoint, and thus described it:

". . . It is the story of the development of an unheard-of sin and this sin is not yet redeemed. For this reason Germany cannot yet find peace."

Since 1871, when Frantz's book "Das Neue Deutschland" was published, many years have passed, and Germany has only increased her sin by additional wrongs done to Poland. The redemption must also be greater, and the conditions of securing peace in Polish-German relations and in the whole of Europe must be thought out more carefully than at Versailles.

JAN REMBIELIŃSKI

OLD POLAND

A YEAR OR SO BEFORE THE OUTbreak of the present war, on my return from a visit to Germany, I stopped in Breslau (Wrocław) for a brief pause. It was early on a Sunday morning. The street was quite empty and drowsy, and as yet there were no sounds of human voices anywhere; this very stillness, undisturbed, intensified the piercing impression that I had suddenly been brought to the very centre of Poland. For wherever I glanced, on the closed shops, covered with boards or shutters, I could see purely Polish names on almost all the nameboards of the shops. The percentage of such Polish names was perhaps even higher than in Warsaw or Cracow, where one often comes across Jewish names with a German form.



The Silesian coins from the years 1645-1660 representing the Polish Kings, Wladyslaw IV and Jan Kazimierz as the Dukes of Oppeln and Ratibor.

On the back page: Sigismund the Old, King of Poland, as the Lord Lieutenant of Upper and Lower Silesia (1502-1506) from a sixteenth century engraving.

I checked this first impression by entering several blocks of flats at random, and glancing at the lists of the tenants hanging in the foyers. I also looked through the telephone directory, again opening it at random and reading the names of the subscribers. Everywhere I found names ending in "-ski" or "-cki," either spelt correctly or misspelt; and the number of Urbaneks, Nowaks, etc., was staggering.

From all these observations one clear and unmistakable fact emerged; namely, that the boundaries of tongue, habits and ideologies move to and fro more easily than the native population, living on its own soil from time immemorial. The German tongue has superseded the Polish language, the outward forms have been modelled on the pattern of the Reich and the detachments of Hitler Jugend which I saw a few hours later parading before the Breslau Town Hall were probably no less enthusiastic about the Fuehrer than the young Party recruits in Nuremburg or Hamburg. But even these youngsters were still *Silesians*, men born in a different tradition, with a different mind and inclinations.

While walking from the station to the centre of the town, I noticed a medieval church with its bricks darkened by age, surrounded by ugly modern business premises. An old woman on her way back from the early mass explained to me that this was the Church of St. Adalbert. This was significant enough, that this church bore the name of the first patron of Poland, who was the friend and adviser of Boleslaw the Valiant, and the legendary author of the first Polish national anthem, "Bogurodzica" (Mother of God). When I entered this church, I saw there a coffin, a reliquary with the remains of the venerable Czeslaw Odrowaz, a scion of the great house which alone in Poland had three members who were canonized. I knelt and it seemed to me that I saw at the same time the coffin of St. Jacek Odrowaz in the chapel of the Cracow Dominicans, and I also thought of the venerable Iwo Odrowaz, who in the same Cracow, began to build the Church of Our Lady.

The memories of this visit would change into a Baedeker of Breslau, were I to decide to enumerate all the Polish monuments in this town. In the Church of St. Vincent is buried Henry the Pious, "who was killed at Lignica in 1241," said the Latin inscription on his tomb. He was the first Polish Commander in Chief who gave his life in battle against the enemy, as was later done by King Wladyslaw III, Zolkiewski, Prince Jozef Poniatowski . . . In the Church of the Holy Cross we find the sarcophagus of Henry Probus, whose activities were vindicated only by modern historians as the first Polish prince who tried to restore the Polish Kingdom after its feudal divisions in the twelfth and thirteenth centuries. I should add that on the shield of the sarcophagus the earliest White Eagle known to us is blazoned, the oldest example of the coat-of-arms of the Piast dynasty and of Poland which has survived to our times. And lastly, the Cathedral, which was founded by Boleslaw the Valiant is still so different from the architecture of the German cathedrals; it combines Gothic with the Renaissance of its chapels, and actually the cathedrals of Breslau and Włoclawek (Northern Poland) are very much alike, because their chapels were both modelled on the Sigismund Chapel of the Wawel Cathedral in Cracow.

At the station that evening, while I waited for the Warsaw train, I meditated on Peter Wlast Dunin, undoubtedly the most prominent and interesting of the great Polish barons of the twelfth century. In one of the Breslau churches which he founded, a Romanesque tympanum of the portal is preserved to this day, and its bas-relief represents Peter's wife and his son, Swietoslaw. I mused about the feelings and thoughts of this young and brilliant scion of a great house, clad in rich garments, arranging his long, abundant hair in curls. . . .

Not far away, on the platform, two young workers repairing electricity cables were talking in German and even on their working overalls they wore the Nazi swastika. Suddenly one of them caused a short circuit by accident, and for a moment engulfed the whole platform in darkness. And suddenly in the darkness this worker uttered an ancient swear-word in Polish, so juicy that I can't give it in print. . . .

★

I quote these memories to combat the popular phrase, which is often repeated even today, that the rebirth of the Polish national spirit in Silesia was "a miracle," that it came into being at the beginning of the century "from nothing." Actually, Silesia, including Breslau, formed a part of Poland through the whole period of the Piast dynasty, that is to say, during half of our pre-Partition history, during which our national individuality was forged and took shape. Under the Jagiellons these links were not severed; the Silesian princes constantly renewed their pledges of fidelity to the Polish Commonwealth; some of the Polish kings, Jan Olbracht and Sigismund the Old, were Lord-Lieutenants of Lower Silesia. Even during the Wasa dynasty, the Polish kings, Wladyslaw IV and Jan Kazimierz, were also Dukes of Oppeln and Ratibor, and the son of King Sigismund III, Prince Charles Ferdinand was Prince Bishop of Breslau.

The rebirth of the Polish national spirit in Silesia, which began half a century ago, and is still in progress, is only one of the numerous examples of modern national movement, and it is difficult to call it exceptional or miraculous. Prague, at the time when Mozart gave concerts there, the Prague of the period preceding Palacky, probably seemed as German in its language and customs as Breslau today. And as in Prague, so in Breslau, every stone reminds one of its past and of this great heritage of which the modern generation is or should be the worthy heir.

But on the other hand, I should like to combat another mistake with no less emphasis. I think of those who are putting our right to Silesia on the same level with the problem of the lands formerly belonging to Western Slovs, who find old Slav names for the villages near Berlin, or discover Wend cemeteries somewhere on the banks of the Lower Oder or Elbe. Actually, Breslau was not only an integral part of Poland for a long time, but it was perhaps her main political and cultural centre throughout the XII and XIII centuries. It then played more or less the same part which earlier, in the Xth century, belonged to Poznan, and later to Cracow for over 300 years, and still later to Warsaw, and to Wilno in the beginning of the last century.

The difference between our claims to Silesia and to the territories belonging to the Wends or other prehistoric Slav tribes is the same as between history and prehistory, as between St. Czeslaw, who is still worshipped by the people of Breslau, and the legends about the pagan Swietowit at the island of Ruegen. Actually, Silesia, including Lower Silesia, is not only a "land of ashes" . . . History has already formed a body out of this clay, and instilled a spirit into it, the spirit of our thousand-year old past.

TADEUSZ KIERSNOWSKI

ONE MUST HAVE FAITH

EVERYONE WHO FACES SOME new task, who aims at achieving something, must first know exactly what he wants and secondly believe deeply in the cause he serves. A man who lacks decision, who is prone to doubts, will never achieve his aims and may even ruin the whole cause against his will. We have had many such examples in our history. And Chlopicki, the leader of the rising of 1831, might suffice for all. If faith in the justice of one's cause is necessary in the action of the individual, it is much more so in the case of a nation. In modern times, when total war requires incredible strength from every nation, faith in the justice of one's cause and the possibility of achieving one's aims is an indispensable psychological factor of victory. The numerous successes of German arms are thus largely to be explained, since it is no secret that their forces had a deep faith in the justice of the Nazi doctrines and a blind belief in their Fuehrer. On the other hand, if it is accurate the information now at our disposal, that, as a result of recent events, the Germans are losing their faith in victory, it is certainly the first sign of Germany's doom.

I met a nice and intelligent girl belonging to one of the Allied nations on the ship in which I came to England. Once, when I told her that I had no doubts whatever about the victory of the Allies, she replied: "Well, but how do you envisage it? How can it be achieved? It is wellnigh impossible now . . ." I was struck then by this obvious lack of faith in the Allied cause, though the present war had already shown that there are no invincible fortresses or lines of defence today, that everything man does with his brains or hands another man may break or destroy, and that the most important factor is the will to victory and determination. But how was this to be done technically? In reply to this question I thought of an anecdote which I had heard years ago. A man applied to the Admiralty claiming that he had invented such armour-plating that no existing gun could penetrate it. When the invention was tested and the patents bought, the inventor, in leaving the Admiralty, added casually: "I could sell you still another invention." "What is it?" "I have invented a new gun, which pierces every armour-plating, including the one I have just sold you."

If every fighting nation must have a deep faith today, we Poles must have a double portion. In this, the most appalling disaster of our history, we must draw incredible strength from ourselves, we must believe deeply in the justice of our cause, we must form one granite block in the defence of our just claims, and our right to life as a nation. We must win or we shall cease to be human beings. Those of our countrymen specially who were in Russia are well aware of this truth. There every Pole, whether worker, peasant or intelligentsia, has realized that there is no life without Poland, and that otherwise we are degraded to the role of hard-working beasts, to be humiliated by everyone who wishes. For this reason we must denounce severely every sign of defeatism among us, or even ideas of those would-be wise men who sometimes try to instil doubts in our hearts about the justice of some of our beliefs, based as they are on the sound instinct of our nation.

There are periods when the spiritual health of the individual is subject to heavy ordeals. We who have been in Russia have just passed through such a period. We thought that all the powers of this world had conspired against us, that we could not expect help from any quarter, and for this reason we had to look to ourselves for the ability to endure. Today we may state objectively that in spiritual strength the Poles clearly towered above the representatives of other nationalities such as the Latvians, the Tartars or the Jews. The explanation is simple; we had something in which we believed. Many of us found solace in deep faith in Divine justice, in the faith that Divine Providence would not permit our extermination, and we all found strength in our faith in Poland. I remember a friend of mine, to whom I talked for five months, of course illegally, through the prison window which was covered with tin-sheets. I never saw his face. He was Tadeusz L., a student of the University of Wilno, and once he told me: "You may be surprised, but it is only my deep religious faith which keeps me going." I have also met men who, on receiving a sentence of eight years' hard labour, used to say with a smile, almost laughing in the faces of our then protectors: "What, only eight years? It's very little. It doesn't matter. Poland will exist again and I shan't be in prison longer than a year."

Personally, during my fourteen months' stay in prison, I had only one day when I almost broke down. This was on the 24th of July, 1940. I was then sitting alone in an isolation cell. This day was for me the anniversary of memories particularly dear and pleasant, and under their influence I began to lose hold of myself. I felt that after several weeks of constant nervous strain energy was leaving me, and my physical and spiritual strength was waning. I thought I could not endure it any longer. While I was making my daily walk six steps along my cell, I stopped before the window which opened inwards and I looked at myself in the glass as if in a mirror. Suddenly I noticed on the window ledge an inscription which I had not seen before, though I had looked through my cell thoroughly many times. I discovered on the window-frame a text written in pencil, a text which I shall not forget until the end of my life. It read literally: "Honour those who struggle for the freedom of Poland. Brothers, endure to the end. You cannot break down. Final victory will be ours!"

This "voice from heaven" at once set me on my legs again. I realized then that some strong man had occupied my cell before me, and that I must not be less strong than he. It may have been just an accident, or perhaps Providence wished to come to my help thus in one of the saddest moments of my life.

ERRATUM: The headline on the first page of the last issue (No. 20) of "The Common Cause," instead of "Polish Motif on the English Language" should have been "Polish Motif on the English **Stage.**"

POLAND & GERMANY

PAST AND FUTURE

by

Tadeusz Sul'mirski, LL.D., Ph.D.

Foreword by
CAPT. ALAN GRAHAM

WEST-SLAVONIC BULLETIN
14 High Street, Edinburgh

NECROLOGY

THE LATE FATHER JAN PIWOWARCZYK

ALL CLASSES AND ALL POLITICAL PARTIES are suffering grievous losses as a result of the sanguinary German terror. Of course the Catholic Social Movement has likewise not been spared. Recently two of its most prominent members died in the infamous concentration camp at Oswiecim.

One of them is Father Jan Piwowarczyk, the well-known journalist, recently Head of the Religious Seminary at Cracow. For a considerable number of years he was on the staff and later became Editor-in-Chief of the Cracow paper "Voice of the Nation," and in this position contributed greatly to the wide publication of the Papal encyclicals "Rerum Novarum" and "Quadragesimo Anno." He also wrote a series of separate articles on such subjects as Socialism, Communism and capitalism, played a great part in the work of the Social Council in conjunction with the Primate of Poland, and delivered lectures for Catholic Congresses and Courses. When he was appointed as a lecturer at the Cracow University he was anxious also to arouse in the young generation of priests an enthusiasm for social reforms and a deep sensibility to the misery of the proletariat. He worked with much perseverance for the Christian Professional Movement. Modest, self-sacrificing and unselfish, he left behind him the most excellent memories. His tragic death in Oswiecim, in the prime of his life, creates a gap in the ranks of Polish Catholics which it will be difficult to fill.

THE LATE DR. WŁADYSŁAW TEMPKA

The other prominent Pole who died in Oswiecim is Dr. Wladyslaw Tempka, an example of the Catholic lay worker. By profession a lawyer, he engaged in social work in the greatest Polish industrial district, in Upper Silesia, among the many miners and foundry workers. He enjoyed a great popularity, and was elected as a Member of Parliament in 1928 for the first time and again in 1930. When war broke out he fought as an officer in the Polish Army. He managed to escape from captivity and settled in Cracow, where unfortunately in April 1940 he was arrested by the Gestapo. After an examination lasting several months he was taken off to Oswiecim, that punishment for the Polish intelligentsia. There he died a couple of months ago.

These two names bear witness to the losses which the Polish Catholic movement is suffering.

K. L.

THE LATE MGR. SINKOWSKI

IN A FIELD HOSPITAL IN SCOTLAND Monsignor Stanislaw Sinkowski died on October 20th, 1942, after a long and painful illness. He was born in Sanok on October 3rd, 1890. After leaving school he studied philosophy and theology in the Przemysl Seminary, and in 1913 he was ordained a priest. During the first world war he was called up as a chaplain in the Austrian forces, and in November 1918 he joined the newly formed Polish Army. He served in the Polish campaigns of 1918-1921 as chaplain of the 14th Infantry Regiment. He was decorated with the Cross Virtuti Militari for courage in the field. He distinguished himself by coolness and self-control in the heat of the battle. He was always at the side of the soldiers who were wounded or dying.

In peace-time he worked hard as chaplain to the Polish forces in raising the morale of Polish soldiers. In Katowice, where he served for a long time, he built a fine military church.

He left a beautiful memory in the Rumanian internment camps, where he spent several months. The soldiers described him as a "good shepherd," friendly and kind to every private.

A fervent worker in God's cause, a kind and noble soldier of Christ has gone to make his last report to God.

M.

IGNACY BALIŃSKI

OUR LADY OF SUDBURY

NO ONE IN POLAND PROBABLY HAS HEARD of Our Lady of Sudbury, whose statue has been in the Church of St. Gregory since the early Middle Ages, once the main Catholic church in this town. This statue was devoutly worshipped by the faithful and was placed on a special and costly altar.

According to the historian of the town, Hodson, Princess Elizabeth, later the Queen of Henry VII, had a particular devotion for Our Lady of Sudbury. She beautified the altar with many precious gifts.

According to tradition, on the morning of every first Sunday after the Feast of the Assumption, the clergy carried the altar with the statue to a nearby chapel, and in the afternoon brought it back in ceremonial procession to the church; this ceremony was called "The Home-Coming of Our Lady at Sundown." In the reign of Elizabeth, the altar was robbed of its treasures and destroyed, but the statue itself was hidden by a handful of the faithful.

The town of Sudbury, principally famous as the birthplace of Gainsborough, lies on the borders of the county of Suffolk, in the Catholic diocese of Northampton. In 1872 a Catholic parish was re-established there and a small, new church called after Our Lady and St. John the Evangelist was built. Both the bishop and the parish priest set their hearts on setting up again the altar with the statue. A few years ago, the vicar, Father Ralph Gerald Moir, met a Catholic from Chicago who promised to provide the necessary funds, but he died before carrying out his promise. However, a benefactress was found who, though not a Catholic, made a large grant for the building of a new and beautiful altar, and thus on Sunday, August 15th, 1937, Our Lady of Sudbury returned in ceremonial procession to her church as she used to centuries ago.

It just happened that since my arrival in England in the late autumn of 1939 I have lived mainly in the neighbourhood of Sudbury and I know the church there. We, the Poles of this neighbourhood, enjoy the friendship and hospitality of the inhabitants. I should like to stress particularly the friendship of Father Moir for Poland; in his sermons he often makes references to our cause, he says masses for the Poles killed in action, and lately at the service on the third anniversary of the outbreak of the war he moved all his audience deeply by drawing a picture of our struggles and endurance. I should add that in the first year of the war, on August 15th, 1940, he hung in his church a copy of the picture of Our Lady of Czestochowa, thus uniting symbolically the two nations fighting for the victory of justice in their joint worship of Our Lady.

POLISH PRESS REVIEW

At the end of September 1942 Father Justin Figas, who for many years has been the Provincial of the Franciscan Fathers, and is a well-known radio preacher in America, arrived in Britain as the guest of the Polish Government.

"POLSKA WALCZĄCA" (Fighting Poland) the weekly organ of the Polish forces, prints an interview with him, in which Father Figas said:

"We American Poles are particularly devoted to the Catholic religion. I am glad to state that everywhere in the soldiers' canteens and barracks I saw crosses and images of the Holy Virgin of Czestochowa and of Ostra Brama. This contributes greatly to the high morale of the Polish soldiers of American descent. During my stay here I attended Divine Service several times, and I saw for myself how deeply religious are the Polish Army, Air Force and Navy, I saw that the soldiers attend Divine Service not because it is their duty but from an inner urge."

"Does the number of Poles serving with the American forces correspond to the percentage of American citizens of Polish descent?"

"On the contrary, it surpasses it many times. About 4 per cent of American citizens are of Polish descent. After the outbreak of the war in Europe, when the American forces were increased by voluntary enlistment, the percentage of Americans of Polish descent rose to 17 per cent of the total. Now we have conscription in America. The Poles are joining up eagerly, and they provide a record number of recruits. The fact that Polish families in America have numerous children is also important. A Polish family with six sons is not exceptional while among the American of British descent such large families are not customary."

JAN RAJECKI

THE COUNTRY HOUSE

WHEN IT HAPPENS THAT WE have to leave London for Scotland or Scotland for London for a fairly long time, many of us suddenly become thoughtful as we put the last few things in our suitcases. These automatic actions remind us of former comings and going from our own homes. And thus the thought becomes merged in anxiety about relatives and friends, and seems to listen to the call of the missing, forgetting the present for the past.

This return journey to the land of memories and souvenirs leads us to the Polish country-house. In the days of our hundred years' slavery we failed perhaps to appreciate all its importance, and while we constantly craved for independence and staked our all on one card, we did not understand how much strength we derived from these paternal walls, from those hedges surrounding the garden, from those gates which were open to our countrymen, and which Germans or Muscovites transgressed only rarely and only on official business.

Inside the manor, Poland always seemed present and powerful, especially for children and young people. Though country life bores some, and others complained about the difficulties of running an estate and maintaining one's heritage, nevertheless, as long as the country-house was there, it bestowed upon every one of its inhabitants and their relatives and friends an unlimited amount of earthly and spiritual happiness.

In the first place, we all shared in the riches which the Gospel says that Our Heavenly Father divides equally between good and evil men, namely, the daily beauty of the country weather. The garden, the house and courtyard, the stream and the pond—all these were part of a well-known horizon. The sun rose day by day in its accustomed place and it peeped through the lime-branches, throwing shadows across the dew-sprinkled lawn, and every evening it set gently behind the fields and woods. The events of the day consisted of small incidents and of the colours and scents of all-embracing Nature. The house which was usually low was generally almost drowned in green trees, ivy and flower-beds. In the winter it made a grey blot amidst the snow and hoarfrost, as if on a background of fine ermine.

The most amazing thing about these Polish manor-houses was their variety, from the banks of the Beresina to the banks of the Warta. Some were small and built of timber, others were resplendent and built in stone, but every one of them was a world in itself, unique and independent. Neighbours did not copy each others' houses—on the contrary they often sought the exact opposite. Nowhere was tea served nor guests seated according to a pre-established order. And though neighbours quarrelled and criticised each other, they were united by a common freedom and unity of purpose.

Whoever has not known the charm of this country life, cannot understand one of the main elements which enabled Poland to bear her long period of slavery, and which even today forms an important tradition. A whole litany of places near and dear to me crowds under my pen. However, I shall pick out the country-house where I spent my childhood in Polesia.

One reached it from Luniniec, taking a branch towards Mozyrz. Then one had to drive ten miles over a sandy, muddy road, full of ruts. At the edge of the last wood lay arable land and a long avenue of Italian poplars, withering with age. Behind a white stone was a wide courtyard with a circular grass plot fringed by box hedges. At the end of the courtyard there was a timbered house of white stone foundations. It was painted grey but the windows and door frames were white. Four white stone columns supported the classical pediment of the upper floor. The sitting-rooms were low but roomy, the parquet floors shone and smelt of wax. Stiff and massive furniture stood around the walls. The mantelpieces and fire-places were ornamented with bronze. Many portraits hung on the walls and a few excellent copies of Italian pictures, relics of former generations. On the side away from the drive, all the windows of the house faced the river. It flowed from west to east, and described a vast semi-circle at the foot of a high bank. Beyond the river meadows, sparsely dotted with old oaks, stretched out to the horizon where a blue mist marked the distant forest. Like two arms embracing the river, the park on one side and the orchard on the other lay by the side of the house. In the park age-old firs, shining in fine weather with a metallic green lustre, and forming a dark-blue mass on sunless days, grew nearest the house. All this has ceased to exist, all this vanished away twenty-three years ago. So what is the use of saying what culture bloomed there, what books were read, what conversations were held about the fireside, what relatives used to gather there, and how gay were the parties? I thought I could easily turn a leaf in the book of the past. But now I see that the leaf is heavier than a gravestone.

Printed by Letchworth Printers Ltd.,
Letchworth Garden City, Herts.